

Wolności. Przed domem Haniera zobaczyli tłum ludzi; przed drzwiami stał policyant, spostrzegli więc, że niema mowy o tem, aby się dostać do wnętrza mieszkania, tembardziej, że nie chcieli zwracać na siebie uwagi, a zwrócić by ją musieli. Pułkownik namówił żonę do powrotu. Na drugi dzień zastawił on papierosnicę, chcąc ją, jak przypuszczał inspektor, ulokować w miejscu najbezpieczniejszem, do którego jednak miałby dostęp łatwy. Ale się zawiódł.

— Wspomnieć jeszcze muszę — dodał Johnson — że pułkownik absolutnie nie wyszedł z domu, powróciwszy z żoną od Haniera. Mogą to poświadczyć Linka Pond i dwie inne służące. Zresztą sama wiadomość o pokrewieństwie pułkownikowej z Hanierem wyklucza wszelkie przypuszczenia co do morderstwa. Przed chwilą mówiłem pułkownikowi to samo, co panu teraz i na jego żądanie tu przybyłem. On może wszystko to, co powiedziałem, potwierdzić, jeżeliby tego zachodziła potrzeba. Przy sposobności muszę też panom powiedzieć, że porzucam służbę w tajnej policji i osiadam tutaj jako zwyczajny obywatel. Postawiła mi to za warunek Linka Pond, której się oświadczyłem. Zadanie, jakie mi poruczono, wypełniłem; obowiązki moje w tym kierunku są więc skończone. To, moi panowie, wszystko, co chciałem powiedzieć.

— Zaiste — zauważył inspektor, zwracając się do Slimaka — najgorszą rzeczą, jaka może którego z nas spotkać, jest wejście na fałszywą drogę. Pańskiej energii i sprytowi musimy zawdzięczyć, żeśmy nareszcie z tych dróg zeszli. Należy się panu za to najwyższe uznanie. — Teraz chodzi jednak o nowy ślad. Jestem przekonany, że pan nam dopomoże do wyświetlenia tej tajemniczej historii.

## ROZDZIAŁ XVIII.

### Aresztowany.

Na drugi dzień otrzymał inspektor raport o wizycie Mikego u Karoliny. Raport ten był przyczyną ostatecznej decyzji szefa nowojorskiej tajnej policji. Na pozór w dyrekcyi policji szło wszystko zwyczajnym trybem, ale wtajemniczeni mogli byli poznać, że tam coś gorączkowo przygotowywano.

Także w szynku Guleya było do południa cicho i spokojnie; dopiero koło czwartej po południu przyszło tam kilku gości. Człowiek, którego już poprzednio tam widzieliśmy, ów spokojny nieznajomy, przyszedł także. Wypił przy szynkfasie szklanekę piwa, poczem usiadł przy samotnym stoliku w głębi szynkowni. Guley czytał z zajęciem gazetę sportową, która miała zaliczać go do swoich abonentów. Kelner posypywał podłogę trocinami, chcąc w ten sposób zniwelować obok zapachy rozlanego piwa i marnego tytoniu.

Naraz drzwi się otworzyły i do szynkowni wszedł Mike Gloin ze swym nieodłącznym przyjacielem Banfieldem. Obydwaj usiedli przy stole niedaleko szynkfasu. Mike był bladej i zmęczony jak po złej przespanej nocy, Banfield również nie wyglądał najlepiej. Siedzieli przy stole w ten sposób, że światło padało na twarz Mikego; gdyby się chciało fotografować, to nie można by go lepiej ustawić. Ów cichy nieznajomy, siedzący spokojnie w głębi, nie spuszczał oka z tej pary. Mike kazał przynieść wódki, którą obydwaj popijali, wiodąc ożywioną rozmowę.

Wtem zaszło coś niespodziewanego, tak, że mister Guley podniósł oczy z gazety. Drzwi się otworzyły jakby z rozkazu władzy, a do szynku wszedł wysoki człowiek z żółtą brodą, niosąc pod pachą paczkę plakatów. Obejrzał się mechanicznie po pokoju, badawczym spojrzeniem zmierzył siedzących przy stole łotrzyków i owego spokojnego nieznajomego i Guleya. Wszyscy poznali w nim woźnego sądowego z tego okręgu, który chodził po knajpach z wezwaniem dla gości.

— Tu mam powiesić afisz — rzekł do gospodarza i podszedł ku ścianie, niedaleko której siedział Mike i Banfield. Było tam kilkanaście gwoździ; na jednym z nich powiesił wielki plakat czerwony i wyszedł z szynku.

Banfield obrócił się i spojrzał na plakat, na którym było wydrukowane wielkimi literami:

### 500 dolarów nagrody!

zostanie wypłaconych temu, kto wskaże sądowi osobę, lub osoby, które w nocy, dnia 30-go grudnia 1881-go roku

### ZAMORDOWAŁY

Ludwika Hanier'a.

Banfield, przeczytawszy te słowa, zbladł i obróciwszy się do Mikego, szepnął drżącym głosem:

— Na rany Boskie, Mike! Przypatrzo się!

Mike Gloin nie przeczuwał i nie domyslał się nawet, jak oczy owego niepozornego indywiduum z głębi pokoju badawczo na niego patrzyły. Obejrzał się, rzucił okiem na afisz i wstrząsając ramionami, rzekł:

— Już dobrze. Oni tam nie wyznaczają nagrody, jeśli są na tropie zbrodniarza. Możemy być zupełnie spokojni.

Wieczorem siedział inspektor Byrnes w swoim gabinecie, przeglądał raporty i rozdzielał rozkazy. W przedpokoju zgromadzonych było kilkunastu agentów. Każdy z nich, otrzymawszy rozkazy, odchodził natychmiast, tak, że żaden z pozostałych nie wiedział, dokąd kogo wysłano. Najgłębsze milczenie jest bowiem główną ustawą, obowiązującą w gmachu przy ulicy Mulberry. Każdy z agentów znał tylko sprawę, którą jemu poruczono. Wszyscy też rozmawiali o wszystkim, tylko nie o tem, jakie który z nich miał polecenie.



...Banfield, przeczytawszy te słowa, zbladł i obróciwszy się do Mikego, szepnął drżącym głosem:

— Na rany Boskie, Mike! Przypatrzo się!

Wiedzieli oni doskonale, że ma się stać coś ważnego, to też każdy czekał niecierpliwie chwili, kiedy go zawezwają do inspektora po rozkazy.

Przed inspektorem leżał na biurku arkusz papieru, na którym obok innych uwag znajdowało się pięć nazwisk, widocznie ważnych, bo podkreślonych czerwonym ołówkiem. Nazwiska te brzmiały:

Michał Gloin, zwany Mike,  
Robert Morrisey,  
Tomasz Healy,  
Fryderyk Banfield,  
Karol Guley.

Ludzie ci mieli być aresztowani. O co ich oskarżano, tego nie wiedział żaden z detektywów, którym poruczono ich dostawienie.

Aresztowanie miało się odbywać o ile możności cicho i spokojnie, tak, żeby co najwyżej użyć różki w razie, gdyby aresztowany się opierał.

Ponieważ wszyscy oni byli już od dłuższego czasu pod nadzorem policyjnym, inspektor wiedział doskonale, gdzie którego z nich znajdzie. Mógł więc wydać rozporządzenia w ten sposób, aby aresztowania odbyły się wszystkie o jednej godzinie. Chodziło mu tylko o to, aby aresztowani nie ze-

tknęli się z sobą. Bo od chwili, w której się znajdują w rękach policyi, będą już wszyscy odcięci od wszelkiej styczności ze światem. Wydał już był rozkazy co do aresztowania Morrisey'a, Healego, Banfielda i Guley'a. Pozostawał tylko Mike Gloin.

Jego postanowił inspektor sam aresztować. Do pomocy przybrał sobie trzech policyantów. Dwójkami wyszli z gmachu dyrekcyi policyi i rozdzielili się odrazu. Po chwili jednak zeszli się wszyscy na ulicy Smoczej.

Tam znajdowała się knajpa niejakiego Macdermota. Tak właściciel, jak i jego lokal mieli w policyi jak najgorszą reputację, bo też goście, którzy się tam codziennie koło bilardu i szynkfasu gromadzili, należeli wyłącznie do tych ludzi, którzy nie lubią chodzić prostymi drogami.

Szynkownia to była obszerna, podobna do innych tego rodzaju spelunek. Oświetlona była gazem. Na prawo od wejścia znajdował się szynkfas. Boczne drzwi prowadziły na dziedziniec domu.

Większa część gości stała właśnie obok bilardu, na którym kilku z nich grało. Była tam mieszanina najgorszych metów nowojorskich, między nimi osławieni pijacy i złodzieje. Gospodarz, z cygarem w ustach, siedział za szynkfasem. Ubranie jego składało się ze wszelkich możliwych części garderoby, połączonej ze sobą grubymi nićmi.

Wtem drzwi się otworzyły. Do szynkowni wszedł wysoki, nieznany mężczyzna, ale pewnym krokiem przeszedł przez izbę, przecisnął się przez tłum, stojący obok bilardu i podszedł ku drzwiom bocznym, które zamknął, a klucz schował do kieszeni. Potem odwrócił się i stanął sztywno jak posąg marmurowy.

Podczas gdy oczy wszystkich spoczywały na nim, wszedł drugi mężczyzna i stanął przy drzwiach, jakby na straży.

Cóż miał znaczyć ten napad?

Hałasujący goście w jednej chwili ucichli, bilardziści przestali grać. Macdermot wyjął cygaro z ust i wyszedł z za szynkfasu. W tej samej chwili wszedł do izby inspektor Byrnes w towarzystwie detektywa, który drzwi zamknął i stanął przy nich razem z pierwszym na straży.

Macdermot widocznie wzburzony i przestraszony zwrócił się do inspektora:

— Co się tu dzieje,

do stu dyabłów, mój panie? — zapytał.

— Zachowuj się pan spokojnie! — brzmiała surowa odpowiedź, poczem inspektor, zwracając się do zebranych tam łotrzyków, zawołał:

— Ustawić się w rząd!

W jednej chwili wszyscy ścisnęli się na środku izby.

— Stanać rzędem! Ręce do góry! Wszyscy! — rozkazywał inspektor.

Ustawili się. Byli to wprawdzie nielada rzezimieszki, ale wiedzieli, z kim mają do czynienia, dlatego nie opierali się, ale spokojnie wypełnili rozkazy.

— Przeszukać ich! — brzmiał dalej rozkaz.

Zaczęła się teraz oryginalna scena. Bo też człowiek, który musi podnieść ręce do góry i pozwolić sobie przetrząsnąć wszystkie kieszenie, nie jest wcale w położeniu do pozazdroszczenia.

Cel rewizji był podwójny. Przedewszystkiem mógł przy tej sposobności wpaść w ręce władzy jakiś podejrany przedmiot, który się mógł przydać, a po drugie właściwa przyczyna rewizji ogólnej była dla wszystkich tajemnicą. Przez kilka minut słychać było jeno głosy detektywów, zapisujących — jakie przedmioty znalezione u rzeźmieszków.

(Dokończenie nastąpi).